**Wanda, która wreszcie chciała zarabiać pieniądze**

**Podtytuł:**

Bazar miejski[[1]](#footnote-1). Wanda Tiszuk od prawie trzydziestu lat handluje na dużym bazarze w Słubicach. Gdy w 1990 roku ludzie rozpoczynali prowadzenie takiej działalności gospodarczej w regionie przygranicznym, mało kto podejrzewał, że nadal będzie ona istnieć w 2019 roku. Czy bazarowi zawdzięczamy powstanie polsko-niemieckiej przyjaźni, czy jest to miejsce utrwalające nierówności ekonomiczne?

Autorka: Nancy Waldmann

**Tekst:**

Trupie czaszki, napis „Jacuza” z liter ociekających czerwienią. Napisy „Ostkult” i „Waffenschmiede Suhl” nadrukowane dużymi białymi literami na czarnym materiale. Takie swetry sprzedaje na swoim stoisku na słubickim bazarze 82-letnia Wanda Tiszuk. – Młodym ludziom podoba się coś takiego – mówi. Z tyłu na ścianie znajduje się manekin ubrany w t-shirt Thor Steinar – to marka noszona przez prawicowych ekstremistów w Niemczech. – Och, to wisi tam już od dawna. Już wieki nikt się o to nie pytał – mówi, machając tylko ręką.

Jest sobota, główny dzień pracy pani Wandy. „Pani” to po polsku słowo „kobieta” i forma adresatywna odnosząca się do kobiet[[2]](#footnote-2). Jak to często bywa, ruch niewielki. Jej stoisko znajduje się zbyt na uboczu. Ludzie, którzy tu zabłądzą, zazwyczaj wstępują do ukraińskiego baru z przekąskami. Pani Wanda poleca go. Można u niej również kupić elegancką odzież wierzchnią i czapki. Pokazuje zapinane na guziki wdzianko, które kupiła jakiś czas temu w Turcji. Po prostu nie może się go pozbyć. Kobieta otwiera stoisko tylko w weekendy. – Już prawie się nie opłaca – mówi gorzko. Nie jest w dobrej formie fizycznej, ma problemy z tarczycą. Właściwie to zapisała stragan swojemu synowi. Ale on ma swoją firmę i nie jest zainteresowany.

Duży rynek w Słubicach na obrzeżach miasta, który Polacy nazywają „bazarem”, a Niemcy „rynkiem polskim”, istnieje od 1991 roku. To miejsce, gdzie Polacy zarobili swoje pierwsze marki niemieckie, a Niemcy z NRD wydali swoje pierwsze wynagrodzenie otrzymane w zachodniej walucie lub pierwszy zasiłek dla bezrobotnych. Wtedy prawie nikt nie przypuszczał, że to targowisko wciąż będzie istniało w 2019 roku. „Bitescheen!” – tak kupcy witają przechadzających się przechodniów. Ci zaś niosą swoje łupy w czarnych, plastikowych torbach. Na bazarze unosi się zapach grillowanych kiełbasek i parującego garnka z bigosem; słychać niemieckie przeboje Helene Fischer i Wolfganga Petry.

Główny bazar ma przy szerszych i węższych alejkach 425 stoisk użytkowanych przez 363 sprzedawców detalicznych i mieści się na powierzchni półtora hektara, po części pod półprzezroczystym dachem. Do tego dochodzą stoiska wzdłuż dróg dojazdowych, gdzie sprzedaje również pani Wanda. Płatności są zwykle dokonywane w euro, należy pytać się o ceny. Sprzedawcy to nadal w przeważającej mierze Polacy. Ukraińców na bazarze można spotkać rzadziej niż w innym miejscu w Polsce, ponieważ nie mogą tak po prostu założyć własnej firmy. Są zatrudnieni w salonach fryzjerskich i w barach z przekąskami, standardowo za stawkę 100 zł dziennie.

Rzeczy zakazane, półlegalne lub owiane złą sławą stanowiły część inwentarza od początku targowisk przygranicznych – pirackie kopie utworów muzycznych, dewocjonalia dla prawicowców zakazane po drugiej stronie rzeki, ubrania z nazwami prominentnych marek lub środki na potencję, o których informują sprzedawcy DVD na odręcznie zapisanych kartonowych planszach. Można znaleźć tu futra, wiatrówki, szelki dla psów, eleganckie ubrania i stroje do joggingu, koszulki piłkarskie, zabawki, śląską kiełbasę i proteiny, lemoniadę w krzykliwych barwach i słodycze czy krasnale ogrodowe, które są sprzedawane tylko na jednym stoisku, bo wyszły już z mody. I oczywiście papierosy, będące nadal siłą napędową handlu, ponieważ kosztują około jednej trzeciej mniej niż w Niemczech. Większość klientów to Niemcy. Nawet, jeśli różnica cen wciąż się zmniejsza, bazar pozostaje celem dla łowców okazji. Ważne jest, aby połączyć wizytę na targowisku z miłą wycieczką. „U nas poczujesz się jak na bazarze z Orientu” oraz „Jedzenie jak u mamy” – tak opisują to miejsce ulotki reklamujące targowisko.

Gdy pani Wanda spróbowała swoich sił w gospodarce rynkowej po raz pierwszy, była tuż po pięćdziesiątce i raczej bliższe jej były lewicowe poglądy. Latem 1990 roku swój towar – niebieskie dżinsy i bluzki dżinsowe, zakupione w fabrycznym sklepie słubickiego kombinatu tekstylnego „Komes” – sprzedawała za wprowadzone właśnie po drugiej stronie Odry marki niemieckie. Opowiada, że można było osiągać przebitkę od 100 do 200 procent. Polska była biedna i tania, bazar na granicy był istną kopalnią złota.

Towar był rozkładany na łóżkach polowych lub kocach na ziemi, na początku przy głównej ulicy w centrum miasta. – Wstydziłam się – mówi. „Wanda, ty tutaj?” – dziwiliby się znajomi. Ma przecież tytuł magistra, była kierowniczką oddziału w banku, a w latach siedemdziesiątych była szefową biura podróży Orbis z kantorem wymiany walut tuż przy przyczółku mostu – dziś w tym budynku mieści się Pizzeria Europa. Dlatego wiedziała, jak postępować z Niemcami, znała język, organizowała wyjazdy dla grup z NRD. Na początku lat dziewięćdziesiątych odrzuciła propozycję pracy na stanowisku w urzędzie miasta. Jak mówi, chciała w końcu w swoim życiu zacząć zarabiać pieniądze.

Handel rozproszony po całym mieście został wnet „ucywilizowany”, jak mówią w Słubicach. Bazar wybudowano na nieużytkach w pobliżu stadionu, sprzedawcy przybywali tu z całego regionu, niektórzy biwakowali w tym miejscu. Gdy nastąpiło nasycenie rynku wyrobami dżinsowymi, pani Wanda przerzuciła się na kryształy – wazony, talerze i puchary w różnych kolorach, które ściągała z inowrocławskiej huty szkła „Irena”. – Wtedy Niemcy to uwielbiali – przypomina sobie. Niesprzedane przedmioty stoją teraz na jej parapecie w salonie.

Pani Wanda przezwyciężyła swój początkowy wstyd, gdy sprowadziła do Słubic swój pierwszy zachodni samochód – Audi nabyte w 1994 r. na granicy holenderskiej za 20.000 marek niemieckich. – Uwielbiam szybkie samochody – mówi z błyskiem w oku. Pani Wanda zdobyła Złoty Kask na Mistrzostwach Polski Motocykli SHL w 1963 roku. – Audi dobrze nam służyło. Na przykład, gdy jeździliśmy na grzyby do lasu, prawda? – mówi do wnuka, który właśnie do niej zagląda. Drugim dużym osiągnięciem oprócz samochodu było wybudowanie domu, który wraz z rodziną postawiła w połowie lat dziewięćdziesiątych. Pod względem prestiżu zawodowego jej decyzja o pracy na bazarze była krokiem w dół, jednak pod względem finansowym zaczęło się jej powodzić.

Wnuk, dobrze po trzydziestce, z zawodu nauczyciel, nie lubi bazaru. Ma wrażenie, że to państwo w państwie, które rządzi się własnymi prawami. Niemieccy klienci wydają się biedni i prości. Wnuk ma powiedzieć bułgarskiemu najemcy pani Wandy, że zbliża się termin następnej płatności. Po drugiej stronie ulicy, na bazarze głównym, najemca ma swoje stoisko. W tym miejscu również wynajmuje stoiska kilku jego rodaków, Bułgarów tureckiego pochodzenia. Pani Wanda opuściła to miejsce, ponieważ mężczyźni zachowywali się jak samce alfa; nie chciała być między nimi. – Ale w przeciwieństwie do nas, słubiczan, są dobrymi sprzedawcami – mówi z uznaniem.

Najemca przybył z rodziną nad Odrę 20 lat temu. Ma szeroki uśmiech, ale jest zamkniętym człowiekiem i – w przeciwieństwie do Pani Wandy – nosi na sobie to, co sprzedaje: kurtkę firmy Boss. Handel tymi markami jest tym, co utrzymuje bazar przy życiu, twierdzi pani Wanda. Każdy, kto pyta na stoiskach, czy są to produkty oryginalne, napotka na pełne konsternacji spojrzenia. Nikt nie zamierza oferować oryginałów. Nikt nie ma zamiaru kupować oryginałów. Torebki Michaela Korsa – małe po 15 euro, większe po 20, a te oryginale od 200 euro wzwyż. Paski od Gucci’ego i Fendi po 10 euro, oryginalne dziewięciokrotnie droższe. Gdy zbliża się policyjny nalot, sprzedawcy szybko chowają swój towar i spuszczają rolety. Policja i tak złapie kilku z nich. Pod koniec listopada wpadło trzech, policja skonfiskowała 1.500 sztuk odzieży z podrabianymi logo producentów artykułów sportowych o wartości 210.000 zł. Grozi za to do dwóch lat więzienia. Ryzyko zawodowe na bazarze.

Pani Wanda mówi, że to, czy zostaniesz złapany, zależy również od stopnia aktywności prawników danych koncernów. Kobieta uważa, że firmy wykorzystują władze państwowe do własnych celów. – Skoro jest wolny rynek, to dla wszystkich – mówi. Dwa razy znaleźli u niej rzeczy, ale tylko kilka sztuk. Jak sobie przypomina, były to produkty firmy Camp David i Bench. Kosztowało ją to około 1.000 złotych grzywny. I mnóstwo nerwów. Od tamtej pory pilnuje, by nie mieć w swoim asortymencie chronionych nazw.

Paweł Sławiak ma w swojej ofercie odzież damską, rajstopy i pończochy łódzkiej firmy, które – jak twierdzi – znów są modne. Sławiak jest prezesem Stowarzyszenia Handlowców Targowisk Miejskich. Reprezentuje 300 z łącznej liczby 363 handlowców. Również Sławiak jest tu od samego początku. Pamięta, że kiedyś na targowisku było wiele rzeczy dla dzieci; przychodziły młode rodziny. Od połowy lat 90. przychodziło ich coraz mniej. – Zauważyliśmy, jak kurczy się Frankfurt. Mieszkańcy Frankfurtu od dawna stanowią mniejszość na bazarze; wolą chodzić na mały rynek w centrum miasta. Samochody w drodze na bazar, które w weekendy korkują miasto, mają tablice rejestracyjne z Stendal, Brunszwiku, Monachium i Salzwedel, z Berlina. Stoiska z ubraniami dziecięcymi i zabawkami są chętnie odwiedzane przez emigrantów i uchodźców. Mężczyzna i jego teściowa w hidżabie uważają, że bazar jest „miejscem przyjaznym dla rodzin”.

Gdy w 2007 roku cały bazar stanął w płomieniach i pozostały po nim tylko sterty gruzu, metalowe szkielety, spalony plastik, pani Wanda, Paweł Sławiak i wszyscy inni handlowcy, których wówczas było ponad 600, zostali z niczym. Niektórzy z nich odeszli całkiem z biznesu, wyemigrowali do Anglii, która już w tamtym czasie otworzyła rynek pracy. W zaistniałej sytuacji kupcy zebrali pieniądze i założyli stowarzyszenie, które zajęło się odbudową bazaru na terenie miejskim. W budowę obiektu zainwestowali 14 mln zł. Wygląda prawie jak hala targowa. Mieszkańcy Frankfurtu przekazywali datki. – To było ważne ze względów emocjonalnych – mówi Sławiak. Przez cztery lata i cztery zimy kupcy handlowali pod dachami namiotów. Miasto obiecało, że po odbudowie podpisze ze stowarzyszeniem umowę, w której powierzy mu zarządzanie targowiskiem. Ale to się nigdy nie stało; włodarze miasta zmienili zdanie. Stowarzyszenie przez lata próbowało dochodzić w sądzie swoich praw wynikających z umowy. W tym czasie było sporadycznie administratorem targowiska. Teraz sąd ostatniej instancji rozstrzygnął na niekorzyść stowarzyszenia. Od 1 stycznia zarządcą bazaru będzie miasto.

Zdaniem Pawła Sławiaka odbudowa bazaru i samodzielne zarządzanie bazarem przez stowarzyszenie sprzedawców to historia sukcesu. – Nasz bazar jest o wiele piękniejszy i nowocześniejszy, niż kiedyś – mówi. Utwardzony teren, zadaszone stoiska z roletami, toaletami, usługami sprzątania, kamerami i ochroną. Wspólnymi siłami z potrzeby uczyniono cnotę i bazar stał się targowiskiem na miarę naszych czasów. Zainwestowałem w reklamę w Niemczech, w gazety, radio, portale społecznościowe, nawiązałem współpracę z biurami podróży, które oferują wyjazdy na polski rynek. Zwabiłem do nas nawet klientów bazaru w Kostrzynie. Dzięki samodzielnemu administrowaniu koszty operacyjne są niskie.

W przyszłości, gdy ratusz przejmie targowisko, wszystko to będzie zagrożone. – Dla nas to ciężki cios. Nie wiemy, co nas czeka – mówi Sławiak. Detaliści zaangażowani w działalność stowarzyszenia czują, że miasto wystawiło ich do wiatru. Obawiają się, że koszty wzrosną. A kto teraz będzie płacił za reklamę?

Dla pani Wandy cała ta historia wygląda zgoła inaczej: w czasach przed pożarem, kiedy miasto zarządzało bazarem, miała duże stoisko przy szerokiej, centralnej alei, ale – jak twierdzi – po pożarze odebrano jej tę dogodną lokalizację i to mimo wcześniejszych ustaleń, że wszyscy dostaną z powrotem swoje stare miejsca. Wbrew nim ludzie z zarządu zapewnili sobie najlepsze stoiska, a koszty budowy poszybowały w górę. Pani Wanda wraz z 37 innymi handlarzami podniosła bunt i ostatecznie „buntownicy” zostali wyrzuceni ze stowarzyszenia. W ratuszu przez lata walczyli ze stowarzyszeniem. Ostatnio niektórzy odmówili płacenia rachunków za koszty operacyjne, które zostały im wystawione przez stowarzyszenie. Oskarżają ludzi Sławiaka, że pobierają „pieniądze za ochronę”. Zarząd wyłączył im prąd. Postępowania sądowe są w toku.

– Jeśli już, to miasto powinno uzyskiwać dochody z bazaru, a nie to stowarzyszenie – uważa pani Wanda. Ale jeden z zastępców Sławiaka twierdzi, że miasto w ogólnie nie widzi tego, co stworzyli. W każdy weekend tworzy się tu korek, bo wszyscy chcą do nas przyjechać. Jesteśmy największym pracodawcą w mieście. I jesteśmy prawdziwym tyglem polsko-niemieckim.

Druga część narracji Stowarzyszenia Kupców mówi o tym, że na bazarze wzrastały ponad granicami prawdziwe relacje międzyludzkie, że tu jest Europa. – Nie w sztywnym uścisku dłoni polityków – mówi ktoś na posiedzeniu zarządu, które odbywa się w każdy poniedziałek w kontenerze na targowisku. Uczestnicy posiedzenia opowiadają o swoich klientach, z których niektórzy przychodzą do nich od 20 lat. – Cztery razy w roku przyjeżdża para z Bawarii i zostaje na stoisku dwie godziny, opowiadając mi o swoim życiu, o tym, kto był chory i tak dalej – mówi Jadwiga Siwierska. Popłynęły jej łzy, gdy jakaś kobieta przyszła jej powiedzieć, że umarła jej siostra, która za życia nalegała, by o jej śmierci poinformować Siwierską, u której kupowała od lat buty. Jak twierdzi Siwierska, siostra zmarłej zapewniła ją, że od teraz to ona będzie u niej robić zakupy.

Handlowcy zrzeszeni wokół Sławiaka zgodnie twierdzą, że kontakt osobisty jest głównym powodem, dla którego ludzie do dziś robią zakupy na bazarze. Przychodzi tu na pogawędki wiele samotnych osób z Frankfurtu. Mówią, używając niemieckiego określenia, że ich relacje z klientami to „Freundschaft”, czyli przyjaźń. – Jednak dla tego tak zwanego „miasta bliźniaczego” w ogóle nie istniejemy – mówi jeden z nich. – Nawet autobus przekraczający granicę nie dociera do nas. Zatrzymuje się kilometr od bazaru. – Inny mu przytakuje: – Oni nas ignorują. Jakby się nas wstydzili.

Sören Bollmann, szef Słubicko-Frankfurckiego Centrum Kooperacji i jeden z architektów miasta bliźniaczego, tak interpretuje panujące nastroje: „Słubiczanie nie chcą być kojarzeni wyłącznie z bazarem, jak to ma miejsce w wielu miejscowościach przygranicznych“. Stąd być może ta powściągliwość, którą Słubice przypisują mu w bliźniaczym mieście. Bollmann zauważa również, że przedstawiciele bazaru już od kilku lat nie przychodzą na fora organizowane przez jego centrum.

Burmistrz Słubic Mariusz Olejniczak, właściwie przyjaciel przedsiębiorców, mówi: „Sprzedawcy nie mogą oczekiwać ode mnie specjalnego traktowania. Traktuję ich tak samo jak innych biznesmenów”. Miasto nie chce czerpać zysków z bazaru. Stowarzyszenie mogłoby samo robić reklamę. Tu jednak zarząd stowarzyszenia zgrupowany wokół Sławiaka dostrzega pewien problem, bo sprzedawcy nie są jednomyślni. – Nie można nikogo zmuszać do partycypowania w kosztach reklamy – mówi Sławiak. Jeśli 80 procent uczestniczy w kosztach, a 20 procent nie, to mniejszość odniesie korzyści dzięki temu, co robi większość – to jest niewykonalne.

Pani Wanda bardziej trzeźwo patrzy na stosunki z Niemcami. „Przyjaźń” polega na tym, że materialnie lepiej sytuowani Niemcy przychodzą tu i wydają pieniądze. – A my korzystamy z tego. Bo co innego mogłabym zrobić z emeryturą wynoszącą 1.300 złotych? – mówi. Twierdzi, że w stosunku do Niemców czuje „dystans”. Chociaż lubi sobie porozmawiać z bardziej wykształconymi osobami. Przyszłość bazaru widzi równie ponuro, jak przyszłość swojego kraju. – Wszyscy Polacy jadą do Niemiec do pracy – mówi. Nawet jej własna wnuczka. Ale ona przynajmniej pracuje w administracji, czyniąc coś na rzecz współpracy polsko-niemieckiej.

Małżonkowie Unger-Meyer z Berlina Zachodniego wracają na parking. Co trzy miesiące przyjeżdżają na bazar do Słubic. Tym razem przybyli w trójkę. Kupili sweter, ciastka, pięć filmów akcji, polską kiełbasę krakowską. I dobrze pojedli. Panowie – każdy po trzy sznycle, sałatkę coleslaw i podwójną porcję frytek, pani Unger – jednego sznycla. Wylicza, że wszystko z napojami kosztowało tylko 40 euro.

Para zna targowisko od 2003 roku, zostało im polecone przez koleżankę z pracy. – Stare targowisko przed pożarem było chaotyczne, z plątaniną niezliczonych kabli. Miało swój urok – wspomina pan Meyer. W Słubicach kupili już wiele figurek zwierzęcych. Za 85 euro nabyli dużego słonia wykonanego z ciężkiego cementu, ważącego 83 kg. Stoi sobie w ogrodzie od czterech lat, nie zważając na wiatr i pogodę. Czegoś tak solidnego nie dostałbyś w Niemczech, a na pewno nie za taką cenę, chwali pan Meyer.  
 Rodzina Unger-Meyerów lubi Polaków. Są mili, mówią po niemiecku i można się z nimi targować. Ale w ostatnich latach zaszło wiele zmian, co im się nie podoba. – Kiedyś to był właściwie polskie targowisko dla Niemców. Teraz bazar jest stopniowo przejmowany przez Arabów – mówi pan Meyer. Ma na myśli turecko-bułgarskich handlarzy. Wydaje się, że wspólnym mianownikiem polskich handlowców i niemieckich klientów jest niechęć do emigrantów. „Oni pobierają zasiłki”, „Sprawiają sobie gromadkę dzieci i nie pracują”, „Niech walczą o swój kraj w Syrii, tak jak robiliśmy to my, Polacy” – takie zdania o uchodźcach w Niemczech padają niemal od razu podczas rozmów z handlarzami.

Na drugim końcu bazaru pani Wanda kończy pracę, w tę sobotę sprzedała 15 swetrów, z czego uzyskała około 300 euro wpływów. – To jakieś 130 euro zarobku. – Koledzy na głównym bazarze zarabiają w takie dni średnio 500 euro. Jednak, gdy osiągany zysk wynosi jedną trzecią utargu i trzeba zatrudnić kogoś za 100 zł dziennie „to po prostu z tego za mało zostaje”.

Kilka dni później, na zamkniętej rolecie widnieje kartka „sprzedam stoisko”.

**Podpisy pod zdjęciami:**

Kiedy sprzedajesz na stoisku targowym przez cały dzień, potrzebujesz odrobiny komfortu. Tak powstają czasami dziwne kontrasty.

WandaTiszuk lubi szybkie pojazdy. W 1963 roku zdobyła Złoty Kask podczas Motocyklowych Mistrzostw Polski SHL. Z dumą pokazuje zwycięskie zdjęcie.

Od zasłon, poprzez środki na potencję po broń lekką, taką jak paralizatory i wiatrówki.

Na sprzedaż jest praktycznie wszystko.⇥ zdjęcia (4): Peggy Lohse

Wyjątkowo dobrze sprzedają się ubrania ozdobione motywem z Budem Spencerem, mówi pani Wanda. Lepiej niż Thor Steinar, marka popularna wśród prawicowych ekstremistów.

W nocy z 10 na 11 stycznia 2007 roku targowisko w Słubicach całkowicie strawił pożar. ⇥zdjęcie archiwalne: Dietmar Horn/GMD

1. W jęz. niemieckim: „Polenmarkt” („rynek polski”) [↑](#footnote-ref-1)
2. W języku niemieckim forma pan/pani używana jest tylko z nazwiskiem, nigdy z imieniem. (przyp. tłum.) [↑](#footnote-ref-2)